

Opowieść o siedzeniu za biurkiem i myśleniu

O książce *Trzy tłumaczki* oraz pracy tłumacza i biografisty opowiada Krzysztof Umiński w rozmowie z Maciejem Stroińskim.

MACIEJ STROIŃSKI *Trzy tłumaczki* to aż trzy książki w jednej okładce. Każdy z portretów ma odrębną formę i odrębną kolorystykę – a jednego autora. Czy od początku planował Pan wydać te biograficzno-przekładowe eseje razem? Co łączy Pana bohaterki – poza płcią, językiem ojczystym i wykonywanym zawodem?

KRZYSZTOF UMIŃSKI Od początku skłaniałem się ku temu, żeby napisać zbiór portretów, ale rozważałem też inne warianty: powieść o tłumacze w czasach stalinowskich lub biografię jednej postaci. Biografia pociągała mnie najmniej. Oczekuje się od niej drobiazgowego i wyczerpującego opisu czyjegoś życia, a ja nawet jako czytelnik nie jestem tak skrzętny – biografie czytam na wrywki, pomijając na przykład fragmenty o dzieciństwie.

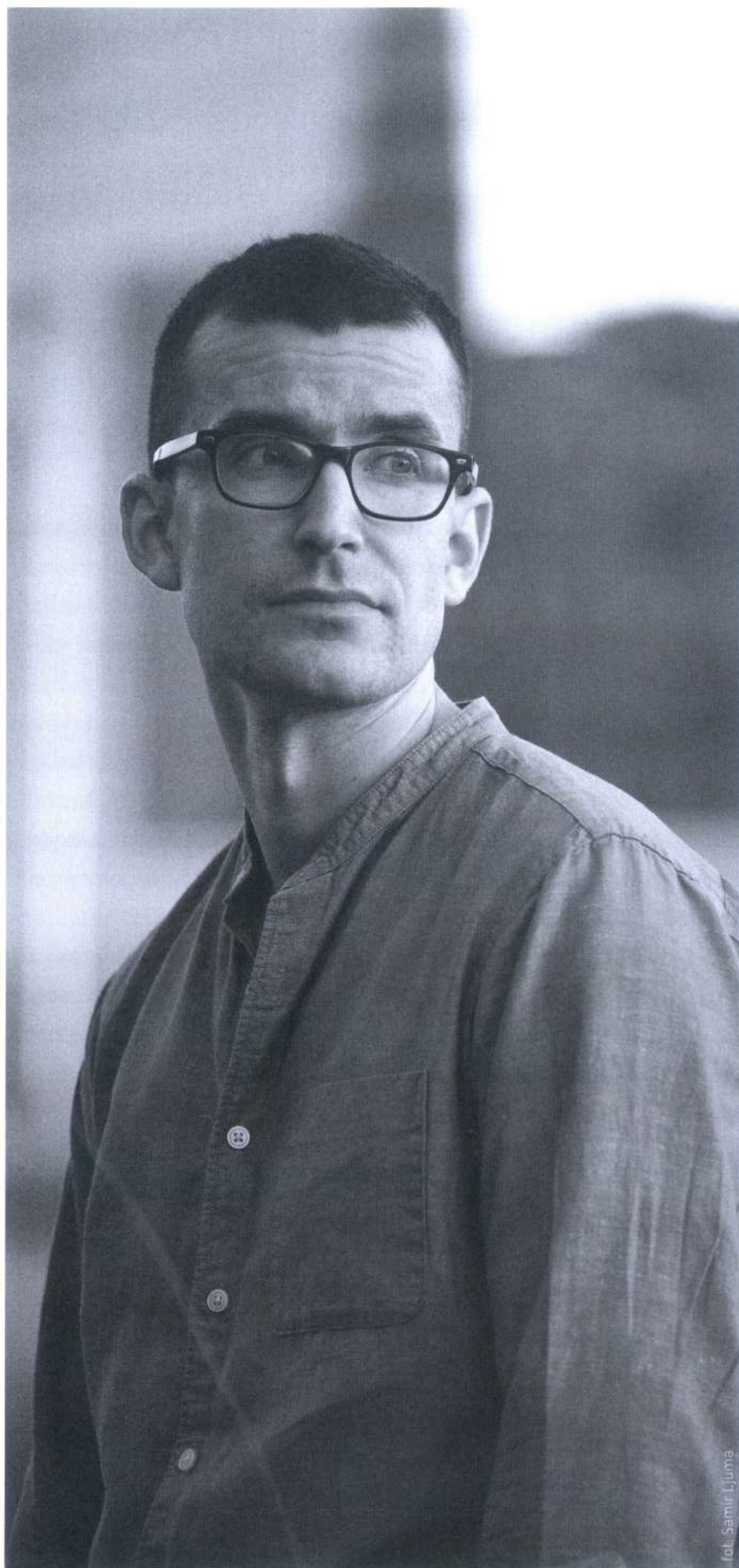
Moje bohaterki łączy pewna dwoistość doświadczenia. Z jednej strony, każda poznała na wskroś koszmarną wojnę i totalitaryzm, z drugiej strony – wszystkie trzy tłumaczyły wybitne książki, czyli zetknęły się z apogeum ludzkiej myśli i wrażliwości. Wydaje mi się, że na przecięciu tych dwóch rodzajów doświadczeń kiełkuje ciekawa wiedza o życiu.

STROIŃSKI Z biografiami mam podobnie: przeskakuję początki... Debiuty życiowe Pana bohaterek przypadają na lata pierwszej lub drugiej wojny światowej. Książka zaczyna się od egzekucji we Lwowie, a kończy słowem „Mordor”, natomiast rozdziały translatologiczne to w wielu miejscach sielanki, opisujące ekscytację przy słuchaniu *Hobbita*, przy lekturze *Trzech muszkieterów*. Nawet czytanie *Wściekłości i wrzasku*, chociaż jest „mozolne”, okazuje się jednak owocne. Czy tak Pan widzi biografie swych bohaterek: życie w ciężkich czasach (wojna, komunizm, dziki kapitalizm), z którego wyzwoleniem jest praca tłumaczki?

UMIŃSKI Na dwoje babka wróżyła. Przekład bywa przytulną niszą, w której można się zaszyć i zapomnieć o nieprzytulnym świecie. Przedpeńska-Trzeciakowska mówi wprost, że z przyjemnością chroniła się w powieściach Jane Austen. Fakt, mogło to być niezłe wytchnienie od, powiedzmy, późnego Gomułki.

Ale tłumaczenie jest też uczestnictwem w świecie – i w polityce. Na początku prac nad *Trzema tłumaczkami* napomknąłem pani Małgorzacie Łukasiewicz, że tłumaczenie wydaje mi się ażylem chroniącym przed duchem czasów. Zachnęła się: „Myśli pan, że tłumacząc Camusa, Joanna Guze odsuwała się od ducha czasów?!”. Jako żywo, nie odsuwała się. Prędzej rzucała mu wyzwanie, zwłaszcza wtedy, gdy przełożyła zakazanego w Polsce *Człowieka zbuntowanego* i potajemnie przekazała tę książkę Jerzemu Giedroycowi, żeby ją wydał w Paryżu. Bez podania nazwiska tłumaczki, rzecz jasna. To był 1958 rok, odwilż już się skończyła. Za przekład dla Giedroycia można było pójść do więzienia, zresztą parę lat później był taki przypadek – Anny Rudzińskiej. Zastanawiałem się: co ta Joanna Guze myślała? Jakie snuła kalkulacje? Miała ośmioletnią córkę. Co stałoby się z dzieckiem, gdyby poszła siedzieć?

Wreszcie jest kwestia przekładów niechcianych. Bibliografie trzech tłumaczek przynoszą im chlubę, ale są w nich również pozycje, że tak powiem, niezupełnie ponadczasowe. Proszę sobie wyobrazić: przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych, ktoś stawia pierwsze kroki w zawodzie, śni o Dickensie czy Conradzie albo może tłumaczy do szuflady Baudelaire’a... Tymczasem od wydawcy dostaje książki utrzymane w duchu epoki – a z czegoś trzeba żyć. I tak na przykład Anna Przedpeńska-Trzeciakowska jako debiutantka przełożyła bardzo postępową publikację, której tytuł brzmi dzisiaj zgoła niepostępowo: esej *Kultura murzyńska* zamieszczony w zbiorze *Murzyni w USA*. Reasumując: różnie bywa z tym wyzwoleniem.



Krzysztof Umiński [1984]

publikował recenzje, eseje i wywiady w „Bluszczu”, „Dwutygodniku”, „Literaturze na Świecie”, „Nowych Książkach”, „Przeglądzie Politycznym”, pisał scenariusze (*Kamper*, *Córka trenera*). Tłumaczył książki m.in. Alberta Cohena, Sorena Gaugera, Rohintona Mistry’ego, Arundhati Roy i George’a Saundersa oraz francuskie komiksy. Jego przekład reportażu *Masakra w El Mozote* Marka Dannera znalazł się w finale Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. *Trzy tłumaczki* to jego debiut książkowy.

STROIŃSKI Co było dla Pana największym wyzwaniem przy pisaniu książki?

UMIŃSKI Najtrudniej było przekroczyć wstyd przed pisaniem. Przez rok zmagalem się z poczuciem, że jestem uzurpatorem, a wszystko, co piszę, jest obraźliwie trywialne. Trudno było też znaleźć formę dla opowieści, która w znacznej mierze jest historią o siedzeniu przy biurku i myśleniu. Pewnie każdy, kto pisze biografię intelektualisty, natrafia na ten problem.

Właściwie wszystko zdawało się trudne i nowe. Najłatwiej chyba przychodziły mi kontakty z osobami, które zabierają głos w mojej książce. Są to humaniści – tłumacze, redaktorzy, pisarze – przeważnie starsi ode mnie o dwa pokolenia. Łatwość wynikała pewnie z tego, że mnie w dużej mierze wychowali babcia i dziadek, oboje urodzeni w latach trzydziestych. Bliscy śmieją się, że jestem niedzisiejszy, że Anna Przedpeńska-Trzeciakowska i ja należymy do tego samego pokolenia. Trochę to przesada, ale oboje w dzieciństwie czytaliśmy powieści Curwooda.

STROIŃSKI Chciałbym zapytać o miejsce teatru w Pana opowieści. Tytułowe trzy tłumaczki chadzały na premiery i tłumaczyły dla teatru, ale dramaty i ich tłumaczenia rzadko się wydaje (dziś nawet rzadko wystawia), przez co w bibliografii Joanny Guze, HPT (Anny Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej) i Marii Skibniewskiej teatralia lądują na końcu głównie jako inedita. Czytał Pan któreś z ich przekładów teatralnych? Czy „idzie” im dialog? Ja mogę sądzić tylko po dialogach w tłumaczonej przez nie prozie. Ciekawi mnie zwłaszcza przypadek Skibniewskiej, która, jak wiadomo, była i niedzisiejsza, i nawet „niewczorajsza”, więc – jako dama – mowę ulicy i różne odzywki znała tylko „z drugiej ręki”.

UMIŃSKI Żadnego z tych przekładów nie słyszałem ze sceny, widziałem tylko na wideo urywek *Biesów* Wajdy ze Starego Teatru. Ten spektakl był oparty na inscenizacji Camusa w tłumaczeniu Joanny Guze. Z przekładów Guze czytałem *Lorenzaccia* Alfreda de Musseta i *Martwą królową* Henry’ego de Montherlanta – tam dialogi są literackie, a Guze świetnie odnajdywała się w takich wytwornych rejestrach, ze swadą archaizowała. Wydaje mi się, że salonowa paplanina z *Cocktail party* T.S. Eliota wypada u Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej przekonująco, ale ona sama jest wobec tego przekładu krytyczna. Ze swoich tłumaczeń Eliota woli *Męża stanu*, którego w latach osiemdziesiątych wystawił Kazimierz Dejmek pod tytułem *Lord Claverton*.

W kontekście pytania o mowę ulicy najciekawsze są pewnie sztuki Jeana Geneta, które tłumaczyła Skibniewska, zwykle w duecie z Jerzym Lisowskim. We wskazówkach do *Balkonu* Genet napomina: „Aktorki niech nie zastępują takich wyrazów jak burdel, bajzel, pierdolnik, kutas itp. wyrazami przyjętymi w dobrym towarzystwie”. No i tłumaczka też nie zastępuje. „Podczas każdej rewolucji znajdzie się jakaś egzaltowana kurwa, która śpiewa *Marsylianę* i odzyskuje dziewictwo” – mówi Irma do Carmen (brzmi to swoją drogą jak komentarz do słynnej sceny z *Casablanki*). Ale Genet to jednak teatr: potoczność wystylizowana, wykreowana; to nie jest naturalizm językowy, jaki znajdujemy czasem w kinie, zwłaszcza w scenach z improwizowanym dialogiem.

Z moich trzech bohaterów najbardziej zaprzyjaźniona z teatrem była Guze – sama proponowała sztuki, bywała na próbach, jej tłumaczenia wystawiali Axer, Kreczmar, Skuszanka, Warmiński... Poza tym dużo chadzała na spektakle, co wynika z jej listów. Na przykład pod koniec 1960 roku pisze do Andrzeja Kijowskiego o *Makbecie*, którego

Z moich trzech bohaterek najbardziej zaprzyjaźniona z teatrem była Guze – sama proponowała sztuki, bywała na próbach, jej tłumaczenia wystawiali Axer, Kreczmar, Skuszanka, Warmiński... Poza tym dużo chadzała na spektakle, co wynika z jej listów.

Krzysztof Umiński

Bohdan Korzeniewski wystawił w warszawskim Teatrze Dramatycznym: „Jak zobaczyłam Mikołajską kreującą prowincjonalną kurewkę i Świderskiego w trykotach Hamleta, i całą tę bandę kretyków miotającą się po scenie według pomysłu Korzeniewskiego, to zrobiło mi się dobrze”. Nie znam się na historii teatru, ale ktoś bliski opowiadał mi, że tamten *Makbet* to była „legendarna chała”, że z Lady Makbet zrobiono podlotkę...

STROIŃSKI Znamy się, wiem więc, że (jak Pana bohaterki) chadza Pan do teatru, a parę razy wybraliśmy się razem: na *Halkę* Anny Smolar, na setne bodaj wznowienie *Wroga ludu* Klaty, a samotnie „wpuściłem” Pana na *Biesy* Miśkiewicza, spektakl obecnie już legendarny, bo zagrany tylko parę razy – a co próbują go wznowić, nie udaje się. Jak Pan odbiera to, co z literaturą robią dzisiejsi reżyserzy? Mógł Pan to sprawdzić też na własnym ciele, gdy w Łodzi inscenizowano komiks w Pana tłumaczeniu (*Wielki zły lis*, Teatr Lalek Arlekin).

UMIŃSKI Tak naprawdę to nie chadzam, bo nie mam pieniędzy na bilety ani wejściówki. Wszystkie eskapady do teatru ostatnich lat zawdzięczam czyjemuś zaproszeniu. Mało spektakli widziałem, więc nie umiałbym powiedzieć, jak współczesny teatr obchodzi się z literaturą.

Halka bardzo mi się podobała, chociaż nie wiem, jak spektakl ma się do libretta Włodzimierza Wolskiego. Przypuszczam, że Anna Smolar i Natalia Fiedorcuk wywróciły je na nice – znam tylko efekt ich pracy, który wydaje mi się porywający. Z rzeczy nie całkiem nowych ważny był dla mnie Czechow w reżyserii Agnieszki Glińskiej i w przekładach Agnieszki Lubomiry Piotrowskiej, a najbardziej przejąłem się *Sztuką bez tytułu* z Teatru Współczesnego. Była ciepła noc pod koniec sierpnia i wracałem piechotą z Mokotowskiej na Sielce jak w gorączce. Miałem tyle lat co Płatonow grany przez Borysa Szycy, dwadzieścia siedem, i dokładnie takiego życia się bałem: zwichniętego przez drobne akty tchórzostwa i kapitulacji.

A *Wielki zły lis* w łódzkim Arlekinie to był czysty zachwyt. I nieoczekiwany, bo nie byłem w teatrze lalek od dziecka, kojarzył mi się z żenującą ramotą, z jakimiś pałubami i kapą przewieszoną przez sznurek. Tymczasem zobaczyłem spektakl niezwykle pomysłowy formalnie, błyskotliwy, utrzymany w świetnym rytmie. A dzieci się śmiały i klaskały z radości – to było najlepsze. Do końca świata będę wdzięczny adaptatorce Magdzie Żarnekiej za tamten premierowy wieczór i za to, że odkryła ten komiks dla teatru. Bo spektakl w Arlekinie był pierwszą na świecie inscenizacją *Wielkiego złego lisa*.

STROIŃSKI Czy zgodzi się Pan, że kariery Pana bohaterek, ich oddanie życiu zawodowemu i emancypacja przez pracę, sytuują je w samym

sercu drugiej fali feminizmu? Brał Pan pod uwagę myśl feministyczną, pisząc swoją książkę? Trzy tłumaczki były kobietami bardzo pracowitymi. Skibniewską można właściwie nazwać pracoholiczką. Jest w Pana książce nawet scena przekładania dosłownie na łożu śmierci.

UMIŃSKI Jestem nieukiem, mało wiem o dziejach emancypacji kobiet i rozwoju myśli feministycznej. Na ponad trzystu stronach książki słowo „feministka” i wyrazy pochodne pojawiają się trzykrotnie. Nie chodzi jednak o to, że rozmyślnie kontestowałem dorobek krytyki feministycznej i jej język. Po prostu zależało mi na tym, żeby mówić językiem jak najbardziej własnym.

Powiedzieć, że Skibniewska była pracoholiczką, to mało. Ona się w pracy zatraciła. Wojna i Jałta zniszczyły jej świat, a wkrótce później zmarł jej mąż. Wtedy chyba całkiem wycofała się z tak zwanego życia. Pewna wydawczyni, sama urodzona w latach trzydziestych, po przeczytaniu portretu Skibniewskiej powiedziała mi: „Rozpoznaję ją, znałam takie osoby – ludzi z jej pokolenia, którzy już na zawsze pozostali w czasach przedwojennych”. Paradoks polega na tym, że w stanie takiego letargu Skibniewska przetłumaczyła stos książek, które są żywe do dziś. W książce Teresy Torańskiej *Oni* wiekowa komunistka Julia Minc (należąca do tego samego pokolenia co Skibniewska) mówi: „Brak pracy dla kobiet to ich poniżenie. Przed wojną siedziały w domu, gniły i gadały o kieckach. W Polsce Ludowej dopiero mogły zacząć się wyżywać w swojej pracy, zostały docenione. Chodzą na zebrania, rozwijają się, rozszerzają swoje horyzonty i podnosi się im świadomość”. Chciałem dać tę wypowiedź jako motto rozdziału o Skibniewskiej, ale w końcu uznałem, że byłoby to nie tyle przewrotne, ile w złym guście. Kiedy w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych Julia Minc kierowała Polską Agencją Prasową, a jej mąż Hilary był trzecim – po Bierucie i Bermannie – człowiekiem w państwie, brat Skibniewskiej siedział w więzieniu z wyrokiem śmierci.

STROIŃSKI Trzy tłumaczki to nowe otwarcie w Pana karierze pisarskiej, Pana drugi debiut. Jeśli dla Pana bohaterki praca przekładowa była ucieczką, to czym książka o nich jest dla Pana? Co się zmieniło i zmienia w Pana życiu dzięki tej publikacji?

UMIŃSKI Pracowałem nad *Trzema tłumaczkami* około trzech lat – nigdy wcześniej nie poświęciłem tyle czasu na pisanie jednego tekstu i nigdy nie zrobiłem nic tak trudnego. Nawet scenariusze filmowe nie kosztowały mnie tyle. To była lekcja pokory, ale też wiary w siebie. Uzmysłowiłem sobie pewne ograniczenie literatury faktu: to, że czasem niektórych rzeczy o drugim człowieku – prawdziwych i głębokich – nie

Przekład bywa przytulną niszą, w której można się zaszyć i zapomnieć o nieprzytulnym świecie.

Ale tłumaczenie jest też uczestnictwem w świecie
— i w polityce.

Krzysztof Umiński

należy ujawniać, bo się kogoś skrzywdzi. Chyba teraz lepiej rozumiem Kieślowskiego, który na pewnym etapie twórczości porzucił dokument dla fabuły.

A czy sama publikacja książki coś zmienia w moim życiu? Nie wiem, od premiery minęło mało czasu. Nie mam ambicji, by zostać kimś, kto żyje z pisania książek – publikuje nową co dwa lata, musi się troszczyć o ciągłą obecność w mediach i tak dalej. Nie chcę też dłużej żyć z tłumaczenia literatury, bo uważam, że to droga donikąd. Zaczęłam podyplomowo studiować bibliotekoznawstwo, ale chyba go nie skończę. Staralem się o pracę scenarzysty przy grze wideo – na razie nie wyszło. Może uda mi się załapać przy jakimś serialu? Może wyjadę na zbiory do Szwajcarii? Wczoraj rozmawiałem z kolegą scenarzystą, który mi objaśniał, jak znaleźć pracę ochroniarza w hotelu. Mówił, że dobrze się pisze nocą w dyżurce.

Jest parę opowieści, które chciałbym opowiedzieć, i kilka, które chciałbym przełożyć. Ale może to potrwać latami, więc rozmyślam, jak na to zarobić.

STROIŃSKI W jednym z wywiadów powiedział Pan, że dobrze się Panu tłumaczy dialogi w prozie i bez problemu oddaje mowę żywą, co jest szczególnie przydatne w przekładach komiksów. Czy ta łatwość ma związek z Pana scenariopisarstwem, które, jak rozumiem, przyszło już po debiucie translatorskim? Co Pana cieszy w pisaniu scenariuszy, poza oczywiście wynagrodzeniem?

UMIŃSKI Filmy, których scenariusze współtworzyłem – *Kamper* i *Córka trenera* – miały minimalne budżety, więc i moje wynagrodzenie było skromne. Satysfakcja wynikała nie z honorarium, lecz z przebywania wśród ludzi zdolnych, pracowitych i bez reszty oddanych tym filmom. Mam na myśli przede wszystkim Łukasza Grzegorzka i operatorkę Weronikę Bilską. Nasza współpraca bywała trudna, a stosunki napięte, ale mnóstwo się od nich nauczyłem. Nie tylko o opowiadaniu historii. Ciekawie było też patrzeć, jak swoje role budują Jacek Braciak, Agata Buzek czy Piotr Żurawski. Towarzyszyć im na próbach i na planie, rozmawiać o postaciach, słuchać, jak się przymierzają do dialogu i obserwować, czy im tekst odpowiada, czy nie.

Jeśli chodzi o pisanie i tłumaczenie dialogów, to myślę, że do jednego i drugiego przydaje się coś, co można nazwać pamięcią językową. Ja dość dobrze zapamiętuję rozmowy, które toczą się przy mnie: całe zdania, oryginalne zwroty, intonacje. Jadę autobusem z Gdańska do Warszawy, obok grupa nastolatków, i nagle jedna drugiej podtyka pod nos torbę chipsów: „Niuchnij to, kurwa, sztachnij się tym”. „Jesteś beczelnym obrzydliwcem”. „A ty jesteś *fat and sad*”. Słyszę coś takiego

i mam ochotę się turlać po podłodze z radości. Ale z wiekiem pamiętam coraz gorzej, muszę zaraz łapać za długopis albo komórkę. Myślę, że ta pamięć językowa to nie jest tylko dar. Że to jest też wytrenowane, że to się bierze z czytania książek, ze słuchania, jak ktoś inny czyta na głos, z uczenia się fragmentów poezji i prozy. Albo dramatów. Ja, niestety, mało czytałem poezji i niewiele mam wierszy w głowie. Wyćwiczyłem sobie pamięć, słuchając hip-hopu. I jeśli dziś moja pamięć językowa słabnie, to może zamiast rozpaczać, powinienem zacząć uczyć się wierszy.

STROIŃSKI Za Panem wieloletnie terminowanie w pracy przekładowej i napisanie książki o mistrzyniach zawodu. Co Pan teraz wie o tym fachu, czego Pan nie wiedział na początku drogi zawodowej? Co by Pan powiedział młodemu sobie i doradziłby początkującym tłumaczom? Albo co by Pan odradził... Jesteśmy w tym samym wieku, Pan się powoli wycofuje z tej roboty, a ja się w nią wkrecam, mam więc swój własny interes w tym pytaniu – żeby na końcu naszej rozmowy, jak Pan na końcu rozdziału o Joannie Guze, „wreszcie powiedzieć: ja”.

UMIŃSKI Pierwsza rada, najbardziej prozaiczna, brzmiałaby: nie traktuj przekładu literackiego jako źródła utrzymania. Postaraj się znaleźć spokojną pracę, która zapewni ci życiowe minimum: ubezpieczenie zdrowotne, pieniądze na mieszkanie, jedzenie, kartę miejską. Przekładem zajmuj się po godzinach – powoli, ale bez kompromisów. Wybieraj to, co uważasz za wartościowe, i tłumacz to najlepiej, jak potrafisz.

Wsluchuj się w różne rejestry polszczyzny. Czytaj dobre przekłady. Porównuj: *Panią Bovary* Micińskiej z *Panią Bovary* Engelkinga. *Braci Karamazow* – wersje Wata, Pomorskiego, Wodzińskiego... Czytaj recenzje tłumaczeń w „Literaturze na Świecie”. Porównaj jakiś dobry przekład z oryginałem. Załóż w tym celu zeszyt i codziennie przepisyj do niego zdanie oryginału, a pod nim to samo zdanie w tłumaczeniu. Czytaj stare słowniki polszczyzny. Czytaj książki o kulturze języka polskiego, a w *Nowym słowniku poprawnej polszczyzny* część zatytułowaną *Hasła problemowe*. Szukaj towarzystwa ludzi, którzy książkę i przekład traktują serio. Rozmawiaj z nimi, koresponduj, wspieraj ich i przyjmuj wsparcie od nich. Ceń dobrych redaktorów, zabiegaj o nich. Pielęgnuj stosunki z mądrymi wydawcami, strzeż się tandeciarzy. Dołącz do związku zawodowego. Dowiedz się, jakie umowy wydawnicze są uczciwe, a jakie nie. Negocjuj – nie robisz tego tylko dla siebie, ale też dla innych. Pamiętaj, że polszczyzna jest naszym wspólnym skarbem... No, wystarczy, nie posądzałem siebie o taką gotowość do prawienia kazań. Coś okropnego, istny Poloniusz przed Laertesem.

STROIŃSKI Wezmę do serca, zapamiętam, dziękuję. ■